

A close-up photograph of a person's hands holding an open red book. The person is wearing a dark grey t-shirt. The background is slightly blurred, showing what appears to be a wooden surface.

CO

DZIEN NOŚĆ

A blurred photograph of an open book with white pages, resting on a wooden surface. The focus is soft, creating a sense of depth and atmosphere.

EWA SCHILLING

Ewa Schilling

Codzienność

© Copyright by
Ewa Schilling & e-bookowo
Grafika na okładce: fotolia
Projekt okładki: e-bookowo

ISBN 978-83-7859-549-6

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie II 2015

ALINA

O czwartej zwykle zasypiała. Światła lamp na parkingu świeciły dla nikogo, puste ulice zamierały wypełnione zimną mgłą. Nie zawsze tak było, nabrała tego zwyczaju przez ostatnią zimę, kiedy zadymki na przemian z odwilżami odbierały jej chęć do wychodzenia z domu. Teraz padała na nos po powrocie ze sklepu czy apteki, kładła się, żeby odpocząć, nagle zapadała w drzemkę, a wieczorami siedziała przy oknie. Z książką, którą zamykała, żeby popatrzeć na supermarket. Oświetlony jak Titanic, lotnisko, Las Vegas, plan filmowy. Całodobowy. Pełny ludzi, którzy, przezwyciężywszy dramaty wyboru, końce historii, postmodernizm i codzienne lęki, potrafili się ubrać, wyjść z domu, utworzyć tłum i beztrudnie dokonać zakupów. Teraz obok zwykłych reklamówek nosili choinki. Przywiązywali je do dachu samochodu albo wbijali do autobusu. W wojnie między błotem i śniegiem wygrywało błoto; zdeptany trawnik między wejściem a przystankiem usiany był połamanymi gałązkami. Leżało też na nim jedno złamane drzewko i czapka świętego Mikołaja.

Ona też tam czasem chodziła. Był dla niej najbliższym sklepem, poza tym mogła tam kupić niemal wszystko, oszczędzając sobie krążenia po ulicach. Wszystko z wyjątkiem chleba. I książek. Książek i tak teraz nie kupowała; czytała stare albo wypożyczała w filii numer siedem. Nie była to co prawda legendarna biblioteka, w której panie bibliotekarki uśmiechają się i są gotowe porozmawiać o poezji, ale i tak skryta za regałami, gdzie tylko czasem mijał ją milczący maniak słowa, czuła się dużo spokojniejsza. Mniej samotna.

Supermarketu od wewnątrz nie lubiła albo był jej obojętny, zależnie od nastroju. Miał śliskie podłogi i wysokie półki, ale potrafiła być praktyczna. Sprawdzała ceny, czytała skład i popychała wózek łokciem. Przychodziła przed południem,

żeby zastać jak najmniej ludzi. Zasypiała o czwartej, a budziła się koło dziesiątej — nie było problemu. Niejaką przyjemność sprawiało jej stoisko owocowo—warzywne, jego kolory i nazwy. Granaty i korzeń imbiru. Arbuzy. Melony Awokado. Mango. Sprawdziała na nich, czy wciąż odróżnia odcienie barw innych niż zachmurzonego nieba, bladej skóry własnych rąk.

W połowie listopada na stoisku pojawiła się nowa pracownica. I na nią też zaczęła patrzeć. To znaczy patrzeć inaczej niż na kasjerki, panie od ryb, wędlin, alkoholu i te z wózkami widłowymi. Nie mijała ich wpędzie, bo nie mogła, i często przyglądała się ukradkiem ich twarzom i dłoniom. Zastanawiała się, jak szybko robią się zmęczone, jak tu trafiły, czy śni im się praca, czy mają udany seks i co by zrobiły, gdyby znalazły trupa w toalecie. Od dłuższego czasu nachodził ją pomysł na historię kryminalną z trupem znalezionym w toalecie supermarketu w roli głównej. Niestety, chociaż potrafiła plastycznie wyobrazić sobie scenę jego odkrycia, choć miała parę interesujących pomysłów, kto tę kobietę lub mężczyznę zabił i dlaczego, to już stosowne komplikacje śledztwa, mylne tropy i fascynująca policjantka rozwiązująca zagadkę pozostawały poza jej zasięgiem.

Na dziewczynę przy owocach patrzyła dla chwili ulgi. Myśli, które przychodziły jej do głowy, brzmiały mniej więcej tak: wygląda, jakby tu wpadła przypadkiem, dla żartu przebrała się w firmową koszulkę — zaraz zacznie rozdawać banany, cytryny i pomidory, a potem, śmiejąc się, wywróci jabłka i ucieknie przed rozszalałymi ochroniarzami.

Miała szarozielone oczy, pozornie zamyślane, ale zawsze słyszała, co do niej mówią klienci. Krótkie ciemnoblonde włosy, lśniące, świeżo myte. Usta, mocno zarysowane, ciągle leciutko przygryzała — może hamowała się, żeby nie powiedzieć: „pieprzę supermarkety”, albo bardziej konkretnie: „zdejmij swojej dziewczynie łapę z karku, dresie, bo wyglądasz, jakbyś prowadził ją na rzeź”. Jednak milczała i uśmiechała się leciutko, profesjonalnie.

Widziała ją też kilka razy na przystanku, rozmawiając z innymi kobietami, które właśnie skończyły zmianę i, czekając na firmowy albo zwykły autobus, paliły, śmiały się i narzekały. Na pewno nie paliła i być może nie narzekała. Śmiała się długo i głośno, odrzucając głowę do tyłu. Co ją rozśmieszyło?

W Wigilię padał śnieg z deszczem. Supermarket wypłuwał ludzi w atakach kaszlu. Ludzie pchali naładowane wózki, gadali, dzwonili, klęli, brali cukierki od Mikołaja, który co kwadrans robił sobie za rogiem przerwę na papierosa, parkowali w niedozwolonych miejscach, a z megafonu bez przerwy leciała piosenka „Jingle Bells”. I nic nie mogło tego zmienić.

Wypatrzyła ją około ósmej wieczorem — chyba ją, bo strugi samego już deszczu utrudniały rozpoznanie — brnącą przez dziury w betonie pod wiatę przystanku.

Wtedy poczuła wściekłość. Wściekła się na to swoje siedzenie na tapczanie, (z poduszką pod tyłkiem, żeby mieć wyżej), w ciemnym, (żeby lepiej widzieć ulicę) pokoju, przed brudnymi szybami (regularne mycie okien przekraczało jej możliwości). Wściekła się na dobiegające zza ściany kołеды, na barszcz, który bezmyślnie ugotowała, na samotność i tęsknotę za dobrym, łagodnym snem, tym snem, w który starała się zapadać niepostrzeżenie, ze zmęczenia, żeby uniknąć przytomnego leżenia z zamkniętymi oczami.

Wstała, zapaliła lampę, wylała barszcz, wzięła portfel. Wyszła na klatkę schodową i wzięła głęboki oddech. Gra szła o to, żeby zdążyć zejść z drugiego piętra, zanim zgaśnie światło. Na pierwszym w oprawce tkwiła przepalona, zapieczona żarówka, której nikt już nie próbował wymienić. Kilka razy nie zdążyła, raz kula uwięzła jej między deskami podłogi, a raz straciła równowagę — na szczęście tylko ciężko usiadła na schodku. Tym razem jej się udało, nie potknęła się o puszkę po piwie ani o sąsiada spod piątki, który, zalany i śmierzdzący jak mokry pies, spytał zyczliwie, czy z okazji świąt nie napiłaby się z nim wina marki Byk.

Przed przejściem dla pieszych podniosła wzrok, ale nie znalazła jej między piersiastymi kobietami w grubych płaszczach, wśród krótko ostrzyżonych chłopaków zajętych komórkami i wymalowanych dziewczyn w kurtkach odsłaniających brzuchy. A potem mignęła jej, oparta o obskubany klon. Zawstydziła się swojego natrętnego spojrzenia, ominęła ją łukiem, tonąc w grząskim trawniku. Podeszła pod obwieszoną chińskimi ozdobami choinkę. Zgrzała się, rozpięła kurtkę i skoncentrowała się na oddychaniu przez nos. Raz jeszcze zerknęła na przystanek, mając wrażenie, że mokra mgła, spaliny i ludzkie oddechy kładą się jej na twarzy jak tampon ze środkiem usypiającym.

— W porządku? — usłyszała głos.

Tak, to była ona, lśniąca od deszczu, z rękami w kieszeniach skórzanej kurtki. Kaptur czarnej bluzy był przemoczony, zdjęła go.

— Jakież duszności? Strasznie pani blada.

— Ja, blada? — otarła czoło z deszczu zmieszanego z potem. — Niemożliwe. Nic mi nie jest.

— Na jaki autobus pani czeka? — przyglądała się jej z uporem.

— Ja?

— Myślałam, że jedzie pani gdzieś do rodziny.

— Co? — nawet nie tłumiała niechęci, gniewu i żalu.

— Aha. Na mnie też nie czekają. Autobus, setka — dodała, wpatrując się w ciemną dal ulicy. —Może... pojedzie pani ze mną?

— Nie obchodzę Wigilii.

— Ale ja obchodzę imieniny.

— Ewa? — spytała miękko, jakby to imię miało kojące właściwości. Z Ewą oczywiście pojedzie dokądkolwiek, od tego jest wigilijna noc, bez barszczu i choinki.

— Tak. Pojedzie pani?

Na autobus już napierał bulgoczący tłum, szary na twarzy kierowca wyglądał, jakby myślał o samobójstwie. Albo zmianie trasy w stronę ciepłych mórz. Wcale nie chodziło o ten samotny wieczór, z którym by sobie poradziła, a już na pewno nie o Wigilię; nie chodziło o to, żeby cokolwiek się działo. Po prostu Ewa powiedziała to z prośbą i nadzieją w głosie. Patrzyła wyczekująco, stojąc w drzwiach autobusu.

— Zaraz — rzuciła niecierpliwemu kierowcy.

Podeszła naprawdę szybko, złapała się jedną ręką poręczą, Ewa wzięła od niej kule, już była w środku.

Prześciśnęły się w stronę okna. Ewa rzuciła długie spojrzenie na siedzącego najbliżej dziesięciolatka z batonami i napojem gazowanym w firmowej reklamówce.

— Może byś tak wstał?

— Czemu?

— Bo jazda na stojąco jest zajebista.

Miała na końcu języka „nie trzeba”, ale się w niego ugryzła.

Chłopaczek kichnął, splunął i wstał.

— Pani siada — burknął i zaczął grać w jakąś grę na komórcie.

— Dokąd jedziemy?

— Do centrum. Tam jest taka knajpka, „Mucha”.

Autobus umierał na każdym zakręcie i przy każdym hamowaniu; odwróciła od niego uwagę, wpatrując się w grę świateł odbitych w kroplach deszczu pokrywających szybę. Reflektory samochodów i neony, sygnalizacja i okna — rozplywały się, zalewały poświatą poczerwiałe kamienice i zapomniane ogrodzenia.

Nagle wysiadały, przeszły przez plac, skrzyły w uliczkę po prawej. Po lewej w dali błyszczą zimnym błękitem i czerwienią nowe centrum handlowe. Tutaj z okien sączyło się złotawe światło, dochodził stłumiony gwar, dolatywała muzyka, obiecując chwilę zapomnienia. Może o tym, gdzie się jest, kim się jest i że nie wiadomo dlaczego?

Spis treści

ALINA	4
TERESA	17
WANDA	30
EMILIA	40
JUSTYNA	60
BOŻENA	85
MAŁGORZATA	97
JULIA	108
KALINA	122
WERONIKA	138
AGATA	155
IRENA	170
MONIKA	182